



Mirosław Derecki

POLSKA NIEPOKORNOŚĆ

To zabity kąt Kielecczyny. Mapa samochodowo-krajoznawcza województwa nie uwzględnia Gałek Krzczonowskich. Dojechać tutaj ciężko i nie każdy kierowca zaryzykuje tłuczenie się po wertepach duktów odbiegających od wygodnej szosy Radom - Opoczno - w głąb przysuskich lasów. Pagórkowaty, piaszczysto-gliniasty teren oraz złe drogi nawet latem nie zachęcają użytkownika samochodu do zapuszczania się w te okolice. Jesienią drogi zamieniają się w grzęzawiska, zimą wiatr nawiewa takie zasypy śnieżne, że jakakolwiek komunikacja - poza pieszą - staje się niemożliwa. Bywa, że w zimie Gałki Krzczonowskie całymi tygodniami pozostają prawie odcięte od świata. Miejscowi chłopcy pracujący w zakładach „Gerlach” w Drzewicy wychodzą wtedy już w środku nocy z domów i brną po kolana albo i po pas w śniegu do odległego o pięć kilometrów Gielniowa. Tam już czekają autobusy.

Więc zupełnie zrozumiałe i oczywiste, że kiedy twardą zimą 1940 roku major Hubal wraz ze swym „Oddziałem Wydzielonym Wojska Polskiego” wymykał się Niemcom z Anielina, poszedł w lasy przysuskie i stanął na długotrwałą kwaterę właśnie w Gałkach Krzczonowskich.

Gałki - pisze M. Wańkowicz, autor „Hubalczyków” - duża niegdyś wieś, ale rozkomasowana, liczyła kilkadziesiąt chałup słomą krytych.

Te słomą kryte kilkadziesiąt chałup, ostatni punkt zaczepienia regularnej armii wrześniowej, poczęły promieniować famą na całą Polskę. Niemcy już dobrze w kluby wzięli kraj, który pogodzić się nie mógł z utratą niedawnej wolności. Do Gałek ściera fantazja polska, polska niepokorność i polska rozpacz.

Bronisława Cieślak dobiega dzisiaj pięćdziesiątki. Od dwudziestu paru lat boryka się ze swym gospodarstwem, od kilku miesięcy ma kłopoty z synem, co źle się sprawuje w technikum mechanicznym w Końskich i nie chce słuchać nie tylko matki, ale także starszego brata, który chlubę przynosi rodzinie; nauczyciel - studiuje zaocznie w Łodzi. Więc to tak: wprawdzie codzienność, dzień dzisiejszy, życie aktualne przede wszystkim; ale kiedy

rozmowa schodzi na wypadki tamtych odległych lat okazuje się, że ani jedno wydarzenie, ani jeden szczegół nie uszedł pamięci ludzi, których chciano złamać.

Było to, znaczy się, drugiego lutego, tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Święto obchodziliśmy Gromniczej. Ile to ja wtenczas miałam? Musi dziewiętnaście lat mi było... No, więc tak było, znaczy się, prawda... więc było Gromniczej, mróz był wilgi, śniegu nawiało, po chałupach wszyscy siedzieli. Jako że święto, robić nie było co. No to chłopcy przyszły do stryja do chałupy i w karty grały i tak się zagrały, że nikt nawet na zegar nie spojrzął ani razu, która godzina, czy późno, a komu pora do domu, a spojrzeliśmy dopiero, jak żeśmy postyszeli stąpania konia po śniegu, lodzie. Jak koń zimą idzie, to już z daleka słychać, podkowy po lodzie stukają... A jeszcze, co to zapomniałam powiedzieć: stryjo jak raz się od kart oderwał i powiedział - jak bym dzisiaj słyszała - „Ale polskiego wojska chyba już w Polsce prędko nie zobaczymy”. I zaraz ten koń stuka. Spojrzałam na zegar - pierwsza w nocy. A ten koń, co mówiłam, stuka coraz bliżej, na podwórku już stuka... Odchuchaliśmy mróz na szybach, patrzymy przez dziury - na podwórzu ulan polski! „Szykujcie kwatery, gospodarzu - woła - polskie wojsko do wsi przyszło!” To Pan Major przyszedł wtenczas ze swoimi ludźmi...

Stali u nas coś sześć tygodni. Major zatrzymał się u stryja. Ja jemu posługiwałam, znaczy prac trzeba było, jeść gotować... Piękne było wojsko. Major wesoly człowiek był, zdjęcia z nim miałam. Przed chałupą na progu żeśmy się fotografowali, w lesie... Ale gdzieś się to wszystko zagubiło, zapodziało. Mówią ludzie, że zdjęcia i papiery różne ważne w lesie niedaleko zakopane, ale kto dzisiaj dojdzie miejsca, gdzie znajdzie, co zarosło...

Kiedy wieś oddycha czasowo odzyskaną niepodległością, gdy wokoło sprawnie zmieniają się warty, żołnierze pucują mundury, ćwiczą musztrę a na okolicznych mostkach bezkarnie tkwią napisy: „Im słońko wyżej, tym Sikorski bliżej”, kiedy stacjonujący w Gałkach oddział polskiego wojska może się już pochwalić 312 ludźmi - w tym samym czasie waży się jego los. Pułkownik Miller (płk Okulicki), wysłannik ZWZ, komendant Okręgu Łódź, dyskutuje z Hubalem sprawę częściowej demobilizacji. Płk Miller powołuje się na rozkaz działających już władz konspiracyjnych - zredukowania oddziału do trzydziestu ludzi, przekonuje do odejścia część Hubalczyków na stanowiska w terenie, wyznaczone im przez „legalną” konspirację.

W drugiej połowie marca, po sześciu tygodniach postoju w Gałkach Hubal w 80 ludzi i 50 koni odchodzi w kierunku Hucisk. Przez pewien czas wpadają tutaj jeszcze jego żołnierze po odbiór upranej bielizny, po żywność. Wkrótce dochodzi mieszkańców wieś o wielkiej bitwie Hubalczyków pod Huciskami (30 III 1940 r.). Same zaś Gałki wracają do poprzedniego szarego, codziennego życia. Tylko na kilka dni.

Po sześciu tygodniach, kiedy śniegi zeszyły i można było użyć broni motorowej, Niemcy otoczyli wieś, rozstrzelali ludność do ostatniego dziecka; Galki - polskie nieznanne Lidice - spalili i, spędziwszy ludność okolicznych wsi, kazali gruzy roznieść i zaorać.

Tak „ze słoneczkiem wyżej” przyszła wiosna dla wioszczyzny, której się zdało być Betlejem.

W ten sposób kończy Wańkowicz rozdział „Szkolenie i niesubordynacja” w swych „Hubalczykach”. Zastrzega się jednak w ostatniej, odautorskiej nocie: *Często ponawiane wznowienia nakładają na autora obowiązek powiadomienia, że opowiadanie to było napisane na emigracji. Aczkolwiek po pierwszym wydaniu napłynęły poprawki, które we wznowieniach uwzględniono, to jednak z całą pewnością mogą w tej relacji istnieć luki, które należałoby wypełnić.*

Niniejszy reportaż stara się wypełnić jedną z takich luk. Historia Gałek Krzczonowskich przedstawia się, bowiem nieco inaczej.

O świcie, piątego kwietnia, od strony Gielniowa nadeszli Niemcy w czarnych mundurach. Obstąpili wieś tak dokładnie, że - jak mówią naoczni świadkowie - i mucha by z Gałek Krzczonowskich *) nie wyleciała. Łomot kołb o drzwi, wystrzały, krzyki, przekleństwa - wszystko zlewa się w jeden nieopisany zgiełk, który spada nagle na uśpionych ludzi. Wszyscy, co do jednego zostają wypędzeni na dwór. Z mężczyzn formują oddzielną grupą i pod automatami prowadzą do stodoły Wasiaka, obok szkoły. W tej grupie znajdują się także dwie kobiety. Jedna to właśnie Bronisława Cieślak, druga - miejscowa nauczycielka. Pomimo że przez cały okres pobytu Hubal nikomu nie pozwalał wydalać się ze wsi, wygląda, iż Niemcy mają doskonałe rozeznanie. Bez pudła trafiają do domu, gdzie mieszkał major, bez wahania wybierają spośród innych kobiet Bronisławę Cieślak. Jak sama twierdzi, Niemcy „brali z listy”, ona również na tej liście była. Miała jednak szczęście. W ogólnym rozgardiaszu, jaki wynika w momencie wprowadzania mężczyzn do stodoły, żołnierz w zielonym mundurze, zdezorientowany - a może w przypiływie litości - odpycha Bronisławę, dziewczyna wpada do pobliskiej piwnicy, przez małe okienko ma możliwość obserwować z bliska dalszy tok wypadków.

Wkrótce rusza pieszy konwój w kierunku Gielniowa. Tam ładują aresztowanych na samochody i odwożą w stronę Radomia. Oprócz nauczycielki nikt już nie wróci. Pod Radomiem rozstrzelano czterdziestu mężczyzn z Gałek Krzczonowskich i dwudziestu z pobliskiego Mechlina.

Z pogromu ocalało tylko trzynastu. Przypadkowo. Pięciu mężczyzn pojechało na noc do odległego młyna, ośmiu zawieruszyło się „na kawalerce” gdzieś w sąsiednich wsiach. Ale po tygodniu historia się powtórzyła. Sytuacja była nieporównanie groźniejsza. Niemcy postanowili tym razem wymordować wszystkich mieszkańców, a całą wieś zrównać z powierzchnią ziemi. Wokół gromady mężczyzn, kobiety i dzieci rozstawiono karabiny maszynowe...

Jak on krzyknął te ostatnie swoje słowa, że „spłoną wasze domy, a wy zginiecie za waszego majora”, jak zawołał, że nas zaraz z maszynce strzelać będą, powstał taki płacz i lament, że dziś aż trudno to sobie wyobrazić. Tu chłopcy się z kobitami żegnają, Niemcy krzyczą, do karabinów się przymierzają, a my, dzieci i dziewczyny, głowy sobie w fartuchy matek owijaliśmy, żeby, chociaż huku nie było słychać, jak nas będą zabijać. Ale co się raptem dzieje... Już, już oni mają zaczynać, jak patrzymy, drogą z góry od dębiny jeden na motorze leci i tak mu się widać śpieszy, że jeszcze jedzie a tu już z motocykla na swoich krzyczy, macha ręką. No więc okazało się, że to ostatniej chwili gdzieś tam rozkaz odmienili. Zaczęli tylko granatami rzucać w chałupy, co się od wybuchu nie rozleciało to i tak ogień zmitrężył. Tak wieś zrównali z ziemią. Gruntownie.

Potem, co takiego? Potem wzięli wszystkich chłopów, tych dwunastu, co się zostało, nie trzynastu, bo jeden, Jan Wasiak, osiemnaście lat mu było, jeszcze na samym początku zdążył wyskoczyć ze wsi i uciec, więc wzięli tych dwunastu, co się zostało, związali powrozem i poprowadzili do lasu. Myśmy myślały, może ich znowu gdzie do Radomia, do jakiego więzienia powieźli? Ale na trzeci dzień jedna kobita kostkę w lesie znalazła, a obok była świeżo ubita ziemia. Dopiero z płaczem - krzykiem poleciała do wsi. I już wiedziałyśmy, co się stało. Jak potem Niemcy pozwolili kopać, dwunastu naszych chłopów pod tą ziemią leżało...

Kobiety zostały same, na gołym polu. I dopiero teraz ujawniła się cała hitlerowska perfidia: wieś zburzono, ale ziemia została, ziemi nie odebrano, ale... zakazano ją uprawiać. Nikomu nie wolno nawet podejść do zgliszcz Gałek Krzczonowskich. Odtąd przez cały rok kobiety, mieszkające teraz w okolicznych miejscowościach, będą się skradały w kierunku Gałek, aby z narażeniem życia sadzić, siać i zbierać. Po roku Niemcy okazali się „łaskawi” - oficjalnie zezwolili na uprawę ziemi.

Jeszcze przez dwa lata pozostała przy życiu ludność tułała się po okolicy. Po trzech latach okupanci wykazali jeszcze więcej łaskawości - pozwolili wracać na dawne pogorzelska. Zresztą, ile w tym geście „łaskawości”, a ile strachu? Kielecczyzna pęczniała jut od oddziałów partyzanckich, których lepiej było nie drażnić.

A więc kobiety i dzieci wracają. Spod narosłej na zestarzałych pogorzeliśkach ziemi wyciągają resztki belek, wygrzebują przepalone kamienie. Wznoszą prymitywne, pokraczne budowle, wierzch przykrywają snopami słomy. Wieś cofnęła się w wyglądzie o dwieście lat, ale ludzie znowu są na swoim.

Kurne chaty, jeszcze nie raz dadzą schronienie partyzantom. Przyjdą do wsi i zamieszkają na kupie z babami, dziećmi, krowami, świniami w roku 1943, a potem w 1944. Teraz jednak ludzie nauczyli się ostrożności. W czterdziestym roku zachłystywali się mirażem wolności, byli ufni, oddani, nieostrożni, naiwni. Obecnie są także oddani, ale równocześnie przebiegli, chytry i przewidujący. Wówczas byli konsumentami wolności, dzisiaj są świadomymi uczestnikami walki o jej odzyskanie. Stanowią straż tylną partyzantów.

Są zawsze w pogotowiu. Nawet świąteczną odzież zakopują po powrocie z kościoła w leśnych kryjówkach.

Znowu Bronisława Cieślak:

Po tym wszystkim, co oni z nami zrobili, ja się przez trzy lata ukrywałam, jako, że wtenczas, za pierwszym razem, mieli mnie na liście. Ale po trzech latach zaczęło się robić coraz ciszej to wróciłam na swoje. Mieszkałyśmy po tych obórkach i jakoś się żyło. Ale jak tylko człowiek pozwolił sobie na chwilę nieuwagi, to już tak się musiało zdarzyć, że zaraz był stratny albo uszkodzony. Przez nieuwagę straciłam raz świąteczne ubranie. A to w ostatniej bitwie z Niemcami, cośmy się znowu spalili. Datę pamiętam dobrze, bo akurat był odpust, a odpust jest w Gielniowie 25 września. No to poszłam na odpust, wróciłam pod wieczór, ale ze zmęczona, myślę, rano ubranie zakopię. Ostatnio – spokojnie. I masz, zaraz z samego rana dwudziestego szóstego, skądś zajechało do wsi pełno Niemców. Ale to nie te czasy były, co w pierw. Naraz z przysuskiego lasu wylecieli partyzanci i tak ich natłukli, że swoich zabitych Niemcy na dwie ciężarówki ładowali. Przy okazji chałupy się znowu paliły, a z nimi moje świąteczne ubranie. Partyzantami podobno dowodził Moczar. O, po tej bitwie Niemcy już długo do Gałek nie zajrzeli.

Z nadejściem zimy mieszkańcy Gałek Krzczonowskich siedzieli już w odbudowanych „obórkach”, Niemcy zrobili im jeszcze wigilijną „niespodziankę”. 14 grudnia 1944 r. popędzili wszystkich do leżącego za laskiem Mechlina. Tam, ustawieni w długi szereg, ludzie musieli przedefilować przed oknem jednego z domów. Wewnątrz stali oficerowie i bacznie przysiadali się każdemu przechodzącemu. Najprawdopodobniej szukali kogoś ukrywającego się w okolicy. Noc wigilijna minęła - jeśli można to tak określić - spokojnie i bez

poważniejszych następstw. I to był dla kobiet i dzieci z Gałek Krzczonowskich koniec okupacji. W styczniu do wsi wkroczyły wojska radzieckie.

Wracając do Kielc zatrzymałem się w lesie niedaleko Przysuchy. Po przejściu kilkudziesięciu metrów znalazłem się na sporej polanie. Jej centrum zajmował cmentarzyk. Groby przeważnie „żołnierskie”, z niewielkimi betonowymi krzyżykami i białymi tabliczkami. Gdzieś tam okazał się lastrykowy nagrobek. Na środku wysoka poślółka brzoza. Wszystko otoczone niskim masywnym kamiennym murem pomalowanym na ciemnoszary. Była jeszcze wielka tablica z napisem: *Miejsce spoczynku 215 mieszkańców ze wsi Skłoby i okolic, bestialsko zamordowanych przez okupanta hitlerowskiego w dniu 11 kwietnia 1940 roku. Kolejny niemiecki odwet. Za bój pod Huciskami.*

Od polany biegła szeroka leśna przesieka. Po jej obu stronach - las cały w wygaszonej żółci, czerwieni i brązie. W oddali przesieka urywała się, widać było typowy pofałdowany kielecki krajobraz. Część przesieki zajmowało kartoflisko. Na środku półka stał stary, wysoki chłop w wyświechtanych, welwetowych spodniach, burym, robionym na drutach swetrze i granatowym berecie. Z widłami, którymi przetrząsał resztki zeschniętych łętów, śmiesznie kontrastowały okulary o nowoczesnym kształcie, w rogowej oprawie. Podeszedłem, zagadaliśmy. *Nieszczęśliwa moja ziemia* - powiedział w jakimś momencie - *Przed wojną nie było na niej cmentarza - Pan tu gdzieś z okolic?* - Zapytałem. *Ze Skłobów. Sami starzy znajomi tutaj leżą. Byłbym i ja, ale jak Niemcy ludzi brali, nie było mnie w wsi. Zapalił „Sporta” i zabrał się z powrotem do szukania niedozbieranych kartofli. Stałem jeszcze przez pewien czas, też paliłem i patrzyłem jak pracował.*

*) Gałki Krzczonowskie – nie Galki, jak podaje Wańkowicz.

Pierwodruk: „Kamena”, 1968, nr 23, s. 7,10-11.